

NIKARAGUA. DRAMAT BEZ HAPPY ENDU

Dodane dnia 2014.09.01 -- **Zaktualizowano dnia** 2015.06.14

Wpis dotyczy kraju: [NIKARAGUA](#) [1]

[Zobacz wszystkie wpisy Adeli z kraju: NIKARAGUA](#) [2]

- [Newsletter biketheworld.pl](#) [3]

31.08.2014, Rivas

Wpis miał być o tym, jak plażowaliśmy w Kostaryce. O tym jednak dziś nie będzie. Nie mam nastroju plażowego. Nie będzie też dziś zdjęć. Ani dziś, ani w najbliższej przyszłości. Aparatu już nie posiadam. Ani ja, ani Kris.

Wydarzenia, które tu opiszę spotkały nas 10 dni temu.

21. sierpnia, w czwartek, przekroczyliśmy granicę pomiędzy Kostaryką a Nikaraguą. Padało i było trochę zimno. Odprawa po stronie kostarykańskiej zajęła kilka minut. Po stronie nikaraguańskiej ciągnęła się w nieskończoność. Kolejka była tak duża, że dopiero po dwóch godzinach mieliśmy pieczątki w paszportach. Było już po 15-stej i byliśmy bardzo głodni. Kupiliśmy od obnośnej sprzedawczynie, kilka kolb kukurydzy z wiadra i usiedliśmy na murku, na późny obiad. Gdy skończyliśmy jeść było chwilę po 16-stej. Zastanawialiśmy się co robić dalej. Z zasady staramy się wszystkie granice przekraczać z samego rana. Nie lubimy przygranicznych miasteczek - prawie zawsze gromadzą podejrzanych typków. Jak dla nas było więc już późno. Po chwili namysłu stwierdziliśmy, że spróbujemy dotrzeć do najbliższego miasta - Rivas - od którego dzieliło nas 30 km. Uznaliśmy, że powinniśmy dotrzeć do niego przed zachodem słońca, czyli ok. 18-stej.

Ruszyliśmy więc przed siebie. Droga mile nas zaskoczyła. O Nikaragui słyszeliśmy tylko złe opinie. Szczególnie nasłuchaliśmy się o tym, jak bardzo jest to niebezpieczny kraj, oraz o tym, jak bardzo zacofany. Tymczasem bardzo dobry asfalt wiódł pośród czystych, zadbanych małych wiosek oraz wielkich, bogatych farm i stadnin koni. Pobocze było zadbane, z głęboko wyciętą trawą, dzięki czemu można było podziwiać wszystko wkoło. Po naszej prawej stronie widać było Jezioro Nikaragua. Tak wielkie, że zupełnie sprawiające wrażenie jakby było morzem. Wybraliśmy to przejście graniczne ponieważ w Panamie spotkaliśmy rowerzystów z Kanady, którzy przestrzegli nas, abyśmy nie przekraczali granicy po drugiej stronie jeziora. Tam, zaraz za granicą jest most, na którym już od 7 lat rabują rowerzystów - podróżników. Policja nic z tym nie robi, więc rowerzyści dzielą się swoimi doświadczeniami i ostrzegają pozostałych na forach internetowych.

Mimo, że droga którą jechaliśmy to Panamericana, czyli autostrada biegnąca przez Amerykę Południową i Centralną, ruch był na niej prawie zerowy. Zastanawialiśmy się, czy coś się stało na granicy, ponieważ w ogóle nie jeździły TIR -y a i osobówek było bardzo mało. Cieszyliśmy się, że wybraliśmy to przejście graniczne. Cieszyliśmy się, że jest tak cicho i spokojnie.

W pewnym momencie naszym oczom ukazały się wielkie wiatraki produkujące prąd. Wiatr nam sprzyjał. Spojrzałam na zegarek. Było chwilę po 17-stej. Od Rivas dzieliło nas już tylko 15 km. Uznaliśmy, że przed zmrokiem dotrzemy bez problemu. Zrobiłam kilka fotek wiatraków i ruszyliśmy dalej.

Nie ujechaliśmy zbyt wiele, gdy zbliżając się do niewielkiego mostku - przepustu drogowego, nagle zobaczyliśmy po dwóch stronach drogi mężczyzn z maczetami. Już w pierwszej chwili coś mnie tknęło. Odrzuciłam jednak te myśli, ponieważ ludzi z maczetami mijamy dzień w dzień. Nie pasowało mi jednak to, że stoją po przeciwnych stronach drogi, twarzami skierowanymi do siebie. Ułamki sekund później, zobaczyłam jak mężczyźni przybierają przyczapone pozycje i unoszą maczety w górę. Jeszcze przebiegła mi przez głowę myśl o zawróceniu i ucieczce ale było już za późno. Nie było już zupełnie czasu na jakąkolwiek reakcję. Z moich ust wydobył się jedynie stłumiony krzyk - „Napadają nas!”

Wszystko co nastąpiło później, pamiętam w postaci jakiejś poklatkowej sekwencji. Spojrzałam przed

siebie i zobaczyłam, że rower Krisa leży na ziemi i jeden typ ciągnie go za koło do rowu. W tym momencie ktoś złapał od przodu za moją kierownicę i też bardzo szybko ściągnął mnie do rowu. Pamiętam następną klatkę, gdy mój rower już leży, a ja kucam jeszcze nad ramą. Zbir trzyma mnie za ramię i wrzeszczy „abajo, abajo, abajo” czyli chodzi mu o to, że mam nie wstawać. Widzę nadjeżdżającego TIR-a i Krisa, któremu udało się w międzyczasie wyswobodzić, wybiegającego na drogę. Ciężarówka przyhamowuje i prawie zatrzymuje się na moście. Przebiega mi przez myśl, że jesteśmy uratowani. Jednak widzę, że jeden zbir wybiega z rowu grożąc maczetą kierowcy. Ten natychmiast rusza przed siebie. Widzę jak typ wymachując maczetą znów spędza Krisa do rowu. W międzyczasie, w tych ułamkach sekund, podczas których ciężarówka zwalniała, zbir który mnie trzymał, uniósł maczetę nad moją głowę i zamarł na moment. Poczułam jak mocno mnie trzyma, abym również nie mogła wybiec na drogę. Gdy TIR ruszył, zbir zaczął ściągać mój rower jeszcze głębiej do rowu i nie wiem jak dokładnie to się stało, ale mnie też ciągnął w stronę chaszczy, wraz z rowerem. Pamiętam uczucie zdumienia i niedowierzania, jak łatwo mu to idzie. Jak łatwo mnie zaskoczył, obezwładnił i jak łatwo ciągnie mnie w dół.

Następna klatka. Gość cały czas wrzeszczy, że mam się nie podnosić. Po tym jak odjeżdża TIR wiem, że teraz zostaliśmy sami, a oprawcy mogą być jeszcze bardziej rozwścieczeni. Nie stawiam żadnego oporu. Cały czas powtarzam typowi aby nic mi nie robił. Powtarzam to chyba z pięć razy. Potem mówię, żeby się uspokoił, że nie będę się wyrывać. Gdy czuję, że typ się trochę uspokoił, pytam - „Czego chcesz? Pieniędzy?” On natychmiast odpowiada, że tak. Wskazuję na saszetkę - torbę fotograficzną - zawieszoną na kierownicy i mówię - „Tutaj są!”. Zbir puszcza mnie i natychmiast rzuca się po torbę zrywając ją jednym ruchem. Przez kilka sekund, które zdają się być wiecznością, stoimy twarzą w twarz. Wyrzucam z siebie - „Mój paszport! Zostaw mi paszport!” Wydaje mi się, że już jest po wszystkim. Wydaje mi się, że teraz rabusie uciekną z kasą i zostawią nas w spokoju. Wykorzystuję ten ułamek sekundy kiedy typ puszcza me ramię i w obu dłoniach trzyma torbę i wybiegam na drogę, aby zatrzymać pomoc. Kris też wybiega. Nadjeżdża auto osobowe. Kris wybiega na środek drogi, ale kierowca widząc napastników z maczetami, odjeżdża czym prędzej. Nie mogę w to uwierzyć! Dociera do mnie, że muszę oddalić się od mostu, aby kierowcy nie byli bezpośrednio narażeni. Jedzie kolejne auto. Zwalnia. Kris rzuca mu się na maskę i krzyczy aby nam pomogli, aby się zatrzymali. Kierowca rusza jednak, nie zbacząc na Krisa na masce. Widzę kolejne auto nadjeżdżające z naprzeciwka. Postanawiam biec w jego stronę i zatrzymać je dalej od mostu. Zostaję jednak niemal potrącona. Kierowca nawet nie zwalnia. Zaraz potem nadjeżdża busik z turystami. To samo. Zbiry w międzyczasie czekają na dalszy bieg wydarzeń, ale gdy widzą, że nikt się nie zatrzymuje aby udzielić nam pomocy, tylko jeszcze bardziej się rozochocają. Odwracam się i widzę, że wszystkie sakwy z roweru Krisa są już ściągnięte, a Kris znów jest na dole i walczy z jednym z bandytów. Typ wali go płaską stroną maczety, wpierv w nogę a potem w plecy. Następnie widzę jak typ siedzi Krisowi na plecach i zaciska mu przedramię na szyi. Kris się jednak wyswabadza - łapie zbira za nadgarstek i powala na ziemię. Dociera do mnie, że Kris się zorientował, że zaraz łupem bandytów padną wszystkie nasze rzeczy i próbuje ich bronić. Widzę jak odciąga złodzieja od swoich sakw.

Chciałam uciekać drogą, ale widząc co się dzieje wracam - nie mogę zostawić tam Krisa samego. Na szczęście w tym momencie pojawia się jeszcze jedno auto. Wychodzę na środek drogi aby zatrzymać samochód, ale ten sam staje. Wsiadają z niego pracownicy biura monitorującego wiatraki. Kris boi się, że kierowca się jeszcze nie zorientował, że jesteśmy ofiarami napadu, i że jak tylko bandyci wybiegną do niego z maczetami, odjedzie jak inni, a my znów zostaniemy sam na sam z napastnikami. Ja próbuję zatrzymać więc ludzi a Kris migiem zbiega do rowu, zakłada porzucane sakwy i wyprowadza oba rowery na pobocze. Tak, abyśmy mogli zacząć ucieczkę od razu, jak tylko auto odjedzie. Kierowca i pasażerowie okazują się jednak nie być tchórzami. Zatrzymali się ponieważ widzieli jak Kris szamocze się z typem z maczetą. Zapewniają, że nas nie zostawią i dzwonią na policję, a następnie dwóch mężczyzn z Krisem rusza w pościg za zbirami. Za ogrodzeniem z drutów kolczastych ciągnie się jednak gęsty busz. Nikt nie chce w wkładać tam głowy, wiedząc, że może ją bardzo łatwo stracić. Chwilę później mężczyźni z Krisem widzą z szosy bandytów na pobliskim wzgórzu oddalających się na swoich rowerach. Pracownicy dzwonią do wszystkich uzbrojonych strażników wież strzegących wiatraków. Chwilę później nadjeżdża na sygnale straż graniczna. Kolejną chwilę później pojawia się na motorze, uzbrojony w shot guna strażnik innego sektora wież, który dowiedziawszy się o zajściu, rusza w pościg. Zaraz po nim pojawia się taksówkarz, który także postanawia nam pomóc. Kris z paralizatorem w rękę biegnie w krzaki zobaczyć, czy bandyci nie porzucili mojego paszportu. Policja przyjeżdża po 25 minutach. Od razu widzę, że nie będą w stanie nam pomóc. Zdezelowany motor, facet z wielką torbą fotograficzną zaczyna robić zdjęcia,

a nieuzbrojona pani przystępuje do zbierania zeznań. Ogarnia mnie straszne wkurzenie, bo czas leci, jeszcze mają szansę złapać zbirów, ale a oni w ogóle nie kwapią się z pościgiem. Nie mają nawet bronii! Dostajemy cynk od jednego strażnika wież, że widział dwóch biegnących mężczyzn z maczetami. Wynika z tego, że dwóch ucieka a jeden został gdzieś z rowerami. Jest w pułapce pomiędzy jeziorem a szosą. Szansa na zatrzymanie chociaż tego jednego jest jeszcze wielka. Jeden z pasażerów samochodu irytuje się, mówi że jako pracownik bardzo dobrze zna okolicę i naciska, aby pojechać z policjantem w pościg. Ruszają. W międzyczasie wraca Kris oraz strażnik na motorze, który mówi, że widział jak mężczyźni przebiegali drogę i uciekli w busz. W zasadzie już jest po wszystkim. Jedyna szansa na ich złapanie była kiedy jeszcze znajdowali się po naszej stronie drogi. Żegnam się w myślach z paszportem. Najbliższa ambasada RP w Meksyku. Nie mam pojęcia co teraz zrobię. Jest już ciemno. Pytam policjantkę gdzie mamy się kierować. Odpowiada mi beznamytnie, że oni jadą, a my mamy sobie zatrzymać taksówkę, która nas zabierze do miasta. Mam wrażenie, że do kobiety nie dociera nasza sytuacja! Przecież ukradli mi kasę! Jak mam zapłacić za taksówkę? A poza tym, jest ciemno i już prawie nic nie jeździ! Nie zostaniemy tu na poboczu sami licząc na to, że ktoś się zatrzyma. Na to policjantka mówi, że mamy sami podjechać rowerami w tych ciemnościach do miasta. Twierdzi, że „dalej to już jest bezpiecznie.” Pytam czy nie mogą eskortować nas te brakujące 15 km do miasta, do samego komisariatu. Policjantka tłumaczy, że nie mają tyle paliwa, aby jechać tempem rowerzystów. Mówi, że odeskortują nas tyle, ile mogą a potem pojedą dalej. Nie mogę uwierzyć własnym uszom! Nie mamy wyjścia. Godzimy się na to. Ruszamy w ciemność drogi, którą oświetla nam blade światło motocyklu. Spieszę się jak mogę, bo nie chcę aby zostawili nas samych na tej „bezpiecznej” drodze.

Chwilę później przyjeżdżają „posiłki” - stara łada, z której wysiada dwóch starych panów. Policjanci dziwią się, że nasze rowery wraz z bagażami nie zmieszczą się do łady. Na szczęście z bocznej drogi wyjeżdża półciężarówka z naczepą. Ładujemy rowery na naczepę i wsiadamy do środka. Dopiero teraz mam moment na to, aby przeanalizować całą sytuację. Czuję, że boli mnie kolano, bo zbir dociskał mnie do ziemi, a moja noga wciąż jeszcze nie zgina się w pełni. Poza tym zupełnie nic mi nie jest. Co najdziwniejsze nie czuję, żadnego szoku, wstrząsu, ani żadnych podobnych emocji. Głównie myślę o utraconym paszporcie i zastanawiam się, jak dotrę bez niego do Meksyku, gdzie mamy najbliższą ambasadę. W myślach wyceniam też straty. Paszport wraz z wizą do USA, dowód osobisty, karta debetowa, międzynarodowy certyfikat szczepień, czołówka, mp3 player no i aparat fotograficzny. Krisowi też zdążyli ściągnąć z kierownicy torbę, w której miał aparat.

Przeżyliśmy, nic nam się nie stało. Zupełnie nic nam się nie stało. Kris obronił reszty dobytku. Gdy myślę o tym, co mogło nas spotkać, straty uznaję za naprawdę niewielkie, tylko ten paszport chodzi mi po głowie. Pytam Krisa czy nic mu nie jest. Mówi, że nie. Mam do niego żal, że niepotrzebnie bronił naszych rzeczy, bo mogło coś mu się stać. Kris odpowiada jednak niespotykanym u niego, nieznośnym sprzeciwu tonem, że tak ocenił sytuację. Jest tak stanowczy i pewny siebie, że nietypowo jak na mnie, nie podejmuję dalszej dyskusji. Po dłuższej chwili milczenia Kris dodaje, że widział, że facet mierzy w niego płaską stroną maczety, widział że boi się go uderzyć, że bardziej próbuje go straszyć. Pytam czemu dał się w ogóle uderzyć. Kris mówi, że widząc, że facet mierzy płazem, chciał aby go uderzył, aby jego ręka znalazła się w zasięgu ręki Krisa. Był moment, w którym Krzycho chciał przechwycić maczetę od napastnika ale zobaczył, że dwóch zbirów jest przy mnie i zrezygnował z tego planu.

Chwilę później docieramy do Rivas. Komisariat zaskakuje mnie jeszcze bardziej, niż brak sprzętu policjantów, którzy przyjechali nam na pomoc. W pokoju, w którym składamy zeznania, stoją krzesła z dziurawymi siedziskami, stare maszyny do pisania, biurko zawalone teczkami a pod nim brudne, zabłocone buty. Pani wskazuje mi zdezelowany fotel bujamy, na którym mam usiąść. Składanie zeznań zajmuje dłuższą chwilę. Gdy jesteśmy po tych formalnościach, jest już 20:30. Nie mamy kasy i nie wiemy gdzie w takiej sytuacji spędzimy noc. Policjanci mówią, żebyśmy spytali w Czerwonym Krzyżu. Na szczęście nie jest daleko. Na miejscu dostajemy zgodę na rozłożenie namiotu w jednej salce.

W Nikaragui szpitale nie posiadają karetek. Pacjentów dowozi do placówek własnymi pojazdami Czerwony Krzyż. Warunki są przerażające. Brudno, całe obejście zawalone jakimiś gratami, silnikami, ogólnie złomem. Ponieważ jest już późno, pracownicy - pielęgniarki, zaczynają układać się do snu. Na dziedzińcu rozwieszają pomiędzy słupami hamaki zrobione z worów po ryżu. Wszyscy ostrzegali nas, że Nikaragua to inny świat niż Panama i Kostaryka, że tu dopiero zaczyna się Ameryka Centralna. Miałam tego świadomość, ale nie wyrażałam sobie, że jest aż tak źle. To już w Afryce, w lepszych warunkach ludzie pracowali! Rozglądam się wkoło i dociera do mnie, że nie ma sensu

zabawiać w Rivas zbyt długo. Policja nam w żaden sposób nie pomoże. Na szczęście i o dziwo, stacja Czerwonego Krzyża ma Wi-Fi. Telefon dyżurny konsula w Meksyku milczy. Powinien być czynny 24 godziny na dobę dla ludzi, którzy są w nagłej potrzebie, ale widocznie konsul RP z Meksyku nie czuje potrzeby aby o godzinie 21. podnieść słuchawkę. Piszę maila do ambasady z pytaniem jakie powinnam podjąć dalsze kroki i układam się do snu. Wciąż zdumiewa mnie to, że nie czuję żadnego wstrząsu. Może dlatego, że nie byliśmy w czasie napadu tak całkiem bezbronnymi ofiarami. Myślę, że napastnicy chcieli nas wciągnąć pod most, aby nie było nas widać z drogi. Gdyby im się to udało, gdyby nas tam obezwładniali i trzymali nie wiadomo ile twarzą do ziemi, to pewnie już bym szukała biletów do Polski. Ale, że stało się tak, a nie inaczej, w zasadzie zasypiając czuję jedynie wkurzenie, że tak łatwo nas zaskoczyli i jednocześnie wielką ulgę, że nic nam nie jest.

Jestem też oburzona i wkurzona na kierowców, którzy woleli nas rozjechać, niż nam pomóc! Rozumieniem, że ktoś nie chce nadstawiać karku za dwójkę obcokrajowców. Ale nie rozumiem czemu NIKT z mijających nas kierowców nie zadzwonił na policję!

W ciągu tych ponad 4 lat, które jesteśmy w drodze, spotkaliśmy już kilkuset rowerzystów. Wielu przejechało Amerykę Środkową bez problemów. Wielu też obrało dokładnie tą samą trasę. My znaleźliśmy się w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwej porze - mimo, iż za dnia, na głównej drodze w kraju.

22.08.2014, PIĄTEK

Zabraliśmy manatki z Czerwonego Krzyża i pojechaliśmy na policję odebrać podstemplowane zeznania. Ku naszemu miłemu zaskoczeniu, okazało się, że policjantka prowadząca naszą sprawę, zorganizowała z innego departamentu samochód (bo własnego nie mają), który nas zawiezie na miejsce zdarzenia.

Spytałam, czy możemy na ten czas zostawić rowery na komisariacie, okazało się, że nie. Policjantka powiedziała, że w Nikaragui nie wolno nikomu ufać, i że jedno z nas musi zostać. Nie bardzo wiedziałam co w te sytuacji zrobić. Wpadłam na pomysł, aby w przewodniku sprawdzić, czy nie polecają jakiegoś spokojnego hostelu prowadzonego przez miejscowych. Okazało się, że właśnie taki opis znalazłam. Podjechaliśmy do hostelu Dona Lidia. Miła, starsza pani dowiedziawszy się o tym, co nas spotkało, od razu zgodziła się przechować nasze rowery wraz z dobytkiem.

Wróciliśmy pod komisariat. Tam czekając na „posiłki” dowiaduję się, że przeciętny policjant niższej rangi zarabia ok. 180 dolarów miesięcznie, odpowiednik ok. 540 PLN (sic!)! Budżet policyjny jest tak mizerny, że komisariat poza ładą, nie dysponuje żadnym działającym autem a funkcjonariusze sami muszą składać się na paliwo. Dlatego, aby było więcej osób do zrzutki, poza prowadzącą sprawę, jadą z nami jeszcze dwaj panowie - pomocnik i magazynier, który robi za kierowcę. Auto, którym mamy pojechać jest totalnie zdezelowane. Na siedzeniu kierowcy leży siedzisko od krzesła, żeby nie zapaść się w wysłużony fotel. W pewnym momencie zaczyna łać. Okazuje się, że nie da się zamknąć okien, ani nie działają wycieraczki. Policjanci śmieją się wesoło. W zasadzie co innego mają robić... Dociera do mnie, że nie mogę mieć żadnych oczekiwań ani roszczeń wobec tych ludzi! To, że z taką wypłatą w ogóle im się chce pracować, że w ogóle z nami jadą, zakrawa na cud!

Dwugodzinne oględziny miejsca zdarzenia oraz okolic nie dają żadnych poszlak, nie naprowadzają na żaden ślad. Wracamy do hostelu po rowery, nie wiedząc gdzie się podziejemy. Miła właścicielka wychodzi z pomocą i proponuje, abyśmy się zatrzymali w jednym z pokoi. Nie chce słyszeć o pieniądzech. Niebawem w życiu jest to, że w sytuacjach podbramkowych, zawsze spotyka się ludzi o wielkim sercu!

23.08.2014, SOBOTA

Rano, przez przypadek zauważam, że Kris ma siny ślad, idealnie odcisniętej maczety na plecach. Idziemy na policję poprosić o skierowanie na obdukcję. Kris opiera się ponieważ nic go nie boli. Ja jednak naciskam, ponieważ wiem, że jest to dowód pogrążający sprawców. Dowód na to, że była to czynna napaść a nie tylko zastraszenie.

Decydujemy się też spróbować zawalczyć o mój paszport. W drodze na komisariat wstępujemy do miejscowego radia, nagłośnić sprawę. Po powrocie z komisariatu przygotowuję ogłoszenie o nagrodzie dla znalazcy moich dokumentów. Drukujemy 100 kopii i ruszamy w miasto je porozklejać. Tego dnia moje ogłoszenie trafia jeszcze na antenę najbardziej słuchanego radia w okolicy oraz udzielam wywiadu do poniedziałkowego, głównego wydania krajowych wiadomości telewizyjnych.

24.08.2014, NIEDZIELA

Mamy zamiar udać się z ogłoszeniami o nagrodzie dla znalazcy paszportu na granicę i do okolicznych

wiosek. Ponieważ nie jesteśmy pewni czy będzie to dla nas bezpieczna wyprawa, informujemy policję dokąd zmierzamy, i o której wrócimy. Z ogłoszeniami w ręku ruszamy autobusem na granicę. Tam rozklejamy ogłoszenia na słupach i rozdajemy je wszystkim obnośnym handlarzom. Udaje nam się też porozmawiać z szefem imigracji, który sprawdza, czy mój wjazd do kraju na pewno jest zarejestrowany w systemie. Potem udajemy się do miejscowości La Virgen, oddalonej zaledwie o 4 km od miejsca napadu. Podejrzewamy, że sprawcy mogą stamtąd pochodzić. Rozklejamy ogłoszenia na sklepach oraz pijalniach i późnym popołudniem wracamy do hostelu, uprzednio zahaczywszy o komisariat. Ale dobrze mieć schronienie u Dony Lidii!

Cały wieczór schodzi mi na pisaniu maili do ambasad – polskiej oraz USA. Okazuje się, że jeśli paszport się nie znajdzie, muszę od nowa ubiegać się o wizę do Stanów.

25.08.2014, PONIEDZIAŁEK

O 6:30 udajemy się do radia na główne wydanie porannych wiadomości, aby na antenie ponownie poprosić o pomoc w znalezieniu paszportu. Następnie idziemy na śniadanie do baru. Wreszcie kraj, w którym rowerzysta może się z samego rana porządnie najeść. Tradycyjne śniadanie to gallo pinto – ryż zmieszany z czerwoną fasolą, plaster słonego, białego sera smażonego na głębokim oleju, kilka kawałków tortilli, plaster awokado, omlet z zawiniętymi w środku duszonymi warzywami oraz miseczka śmietany do polania. To wszystko za około 7 zł. Najedzeni do syta ruszamy do lekarza na obdukcję. Umówienie jesteśmy na ósmą rano. Lekarz nie pojawia się przez dwie godziny. Czekamy na obskurnym korytarzu, z trzema siedzeniami ustawionymi obok ociekających mopów podwieszonych pod sufitem. W tym czasie wysłuchujemy historii wszystkich zgromadzonych. Dwóch facetów zaatakowanych maczetami i jedna zgwałcona kobieta. Gdy opowieści dobiegają końca, policja wprowadza skutych kajdankami zbirów o strasznych obliczach i ustawia ich pod ścianą, tuż obok nas. Nie mam ochoty przebywać w tym towarzystwie. Idziemy poczekać na zewnątrz. Lekarz pojawia się po 10-tej. Robi fotki siniaka na plecach Krzycha – czyli odciśniętej na nich maczety i sporządza protokół doznanego obrażenia. Po wszystkim czuję się wypruta z energii po 2 godzinach w tak obskurnym miejscu. Mimo to, decydujemy się jeszcze raz wybrać na policję. Kris ma w głowie wciąż bardzo żywy obraz twarzy jednego zbira. Ja też jeszcze być może potrafię odtworzyć wizerunek drugiego. Nasza prowadząca nie chce udostępnić nam zdjęć. Twierdzi, że nie ma w kartotekach nikogo z opisanymi przez nas cechami. Naciskamy jednak. Oglądamy w komputerze kilkaset mord zbrodniarzy i faktycznie nie rozpoznajemy wśród nich żadnego z naszych napastników. Okropne, okropne przeżycie. Przewertować tyle patrzących prosto w oczy ze szklanego ekranu zakazanych gęb. Gdy kończymy czuję się okropnie. Gdy mamy już iść do hotelu, pojawia się jakiś młody, biały mężczyzna w cywilu i coś tam szepcze do naszej prowadzącej. Słyszę tylko, że pyta czy to my. Po chwili dowiadujemy się, że media zrobiły takie ciśnienie, że policja z Rivas zatrudniła do sprawy sekretną policję, a wyglądający na europejczyka facet to jeden z tajniaków. Przynosi nam wydrukowane zdjęcie faceta, którego nie widzieliśmy w komputerze. Kris zamiera i od razu wskazuje, że to jest bandyta, który go uderzył maczetą. Tajniak uśmiecha się i mówi, że właśnie takie mieli informacje od tajnego kontaktu inwigilującego wioskę La Virgen. Bandyty szukają już od 3 miesięcy za jakieś inne przestępstwa. Mimo, że przed chwilą podejmowałam w głowie decyzję, aby wyjechać następnego dnia, skończyć ten koszmar, gdy proszą abyśmy jeszcze zostali, godzimy się. Jesteśmy w szoku, że ta policja, za którą złamanego grosza byśmy nie dali, okazała się być skuteczna. Policjanci mówią, że muszą przygotować obławę na faceta.

26.08.2014, WTOREK

Całe miasto huczy o moim paszporcie. Trzy stacje radiowe nadają komunikat trzy razy dziennie. W wiadomościach pojawia się komisarz tłumaczący jakie kroki w naszej sprawie zostały podjęte. Wpadamy na komisariat dowiedzieć się jak leca sprawy. Tajniak mówi, że zbierają informacje i przygotowują obławę. Tłumaczymy, że nie chcemy i nie możemy zostać dłużej niż pięć dni. Facet mówi, że są blisko i żeby dać mu 2-3 dni.

27.08.2014, ŚRODA

Tydzień od napadu. Spokojny dzień. Pierwszy raz nie odwiedzamy komisariatu. Postanawiamy dać policji działać.

28.08.2014, CZWARTEK

Czekamy na wieści od policji. W południe pojawia się tajniak i pokazuje mi zdjęcie. Czuję jakby mnie poraziło! To drugi zbir – patrzę i nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Przychodzi z pokoju Kris i też od razu rozpoznaje twarz oprawcy. Tajniak uśmiecha się tylko i mówi - „tak właśnie

myśleliśmy.” Pytam, jak na podstawie naszych opisów znaleźli typa. Ten znów mówi „mieliśmy pewne informacje. Ponownie jesteśmy w szoku!

29.08.2014, PIĄTEK

W południe znów odwiedza nas tajniak. Tym razem ma w aparacie zdjęcia już zatrzymanych zbirów. Policja wpadła do ich domów nad ranem, po tym jak zdobyli informację o tym, że akurat tam są. Patrząc na zdjęcie zrobione z flashem i wydaje mi się, że to chyba nie mój zbój, bo mój miał ok 25-35 lat a ten wygląda na 45. Mówię, że twarz ta sama ale wydaje mi się za stary, więc nie mogę stwierdzić po zdjęciu, że to on. Dostajemy wezwanie na godzinę 16-stą na obejrzenie podejrzanych przez lustro weneckie. Jestem bardzo zdenerwowana. Na pierwszym zdjęciu byłam pewna, że to ten typ, na drugim już nie. Boję się wymierzyć palcem w niewinnego! Boję się, że gdy stanę twarzą w twarz ze zbiorem, nie będę pewna. Decyduję, że jeśli będę mieć choćby 1% wątpliwości, powiem, że to nie on. Wolę, żeby zbir chodził wolny, niż wskazać niewinnego.

Przed wyjściem ściągam z netu zdjęcia zrabowanego sprzętu – aby policja wiedziała dokładnie jakich przedmiotów szukać. Opisuję dokładnie numery seryjne i kopiuję paragony, aby móc udowodnić, że rzeczywiście posiadam aparat fotograficzny, mp3, telefon czy czołówkę. To wszystko wręczam policji. Nie z nadzieją na odzyskanie przedmiotów ale aby, jeśli coś znajdą, mieć dowody ich winy. O 16-stej stawiamy się na rozpoznanie. Wpierw idzie Kris, potem ja. Wchodząc do pomieszczenia od razu widzę typa. Mimo, że dzieli nas okratowane lustro weneckie, serce wali mi jak szalone. W pomieszczeniu po drugiej stronie lustra jest 5 typów, ale ja widzę już tylko tego jednego. Tego, który nas zatrzymał z uniesioną maczetą. Widząc go na żywo, rozwiewają mi się jakiegokolwiek wątpliwości. Na zdjęciu, które widziałam rano wyglądał zupełnie inaczej. Teraz, patrząc na niego nie mam wątpliwości. Do tego okazuje się, że ma 34 lata, czyli tyle ile szacowałam i jest z La Virgen – miejscowości, nieopodal miejsca zdarzenia. Jest jeszcze ten drugi, którego rozpoznał Kris 2 dni wcześniej na zdjęciu. Ten, z którym się szarpał i miał okazję dobrze mu się przyjrzeć. Policjantka naciska trochę abym go wskazała. Nie robię tego jednak, mimo że wiem już ze zdjęć i z konwersacji z policją, że to on – ten, który walczył z Krisem. Policjantka naciska dalej i mówi, że wszyscy wiemy, że to on. Mówię, że wiem od nich i od Krisa, ale ja osobiście jego twarzy nie pamiętam wystarczająco dobrze i wobec tego nie mogę go uczciwie wskazać.

Na zewnątrz dowiaduję się, że Kris rozpoznał bez wahania obydwóch. Po wszystkim spisujemy kolejny protokół. Wychodzimy z komisariatu dopiero o 21-wszej. Czuję się okropnie, okropnie, okropnie! Mimo, iż nie mam wątpliwości co do wskazanego typa, jest to cholernie nieprzyjemna rola!

30.08.2014, SOBOTA

Rano pojawia się jeszcze na policji aby się dowiedzieć czy możemy już jechać. Zeznania złożone, podejrzani zatrzymani. Nic tu po nas! Prowadząca naszą sprawę bardzo prosi abyśmy zostali do rozprawy. Nie możemy się na to zgodzić ponieważ nie chcemy zostawać w Rivas kolejnych kilku tygodni. Prowadząca mówi, że nasze zeznania na policji nie mają prawie żadnej mocy prawnej i musimy to wszystko, pod przysięgą opowiedzieć w obecności sądu. W sprawę włącza się młoda prokurator, która mówi, że może spróbować zorganizować na jutro rozprawę wstępną, podczas której złożymy zeznania i będziemy mogli ruszyć w drogę. Reszta potoczy się już bez naszej obecności. Nie bardzo wierzę w jej plan ponieważ jutro jest niedziela, a tutaj ludzie są bardzo nieskorzy do pracy w ten dzień. Szczególnie urzędnicy państwowi. Z obawy, że sprawa będzie ciągnąć się w nieskończoność mówimy, że nie będziemy uczestniczyć w rozprawie ponieważ wyjeżdżamy nazajutrz.

W hostelu znów odwiedza nas tajniak. Mówi, że dalej szukają w wiosce, po domach moich rzeczy. Pokazuje zdjęcia jakiegoś plecaka ale mówię, że to nie moje. Pokazuje jeszcze zdjęcia jakichś dwóch gagatków ale nie rozpoznaję żadnego z nich.

Wieczorem robię kilkugodzinne dochodzenie w internecie w sprawie napadów na rowerzystów w Nikaragui. Okazuje się, że na tej drodze zdarzały się już wcześniej ataki przeprowadzane przez trzech uzbrojonych mężczyzn. Dwie obrabowane osoby piszą, że zgłosiły to policji w Rivas. Gdy wcześniej o tym rozmawialiśmy policja z Rivas twierdziła, że jesteśmy pierwszym takim przypadkiem. Robię tłumaczenie tych wypowiedzi z angielskiego na hiszpański. Zamierzam skonfrontować z tym jutro szefa policji. Przecież nie można pozwolić na to, aby rowerzyści dalej padali ofiarami rabusiów z okolic Rivas!

31.08.2014, NIEDZIELA

Ku naszemu zdumieniu, o 9-tej dzwoni hostelowy telefon. To nasza prowadząca. Za godzinę mamy stawić się na komisariacie, skąd zawiozą nas na wstępną rozprawę. Nie mogę uwierzyć, że udało im

się zorganizować rozprawę z dnia na dzień i do tego w niedzielę! Po drodze wpadamy do ksero. Drukuję wczoraj przygotowane historie innych rowerzystów i wręczam je na komisariacie szefowi, naszej prowadzącej i tajniakowi. Wszyscy są w szoku. Wygląda na to, że rzeczywiście nie wiedzieli o wcześniejszych napadach. Wsiadamy do zdezelowanego samochodu, którym jedziemy kilka przecznic do sądu. Znamy już to miejsce. Byliśmy tu u lekarza na obdukcji. Na wjeździe mijamy skutych w kajdanki naszych zbójów. Strasznie nie mam ochoty ich spotykać twarzą w twarz, a na to się zanosi. Pytam, czy oni będą obecni w sali. Policjantka mówi, że wpieryw sami wysłuchają aktu oskarżenia, zostaną zapytani czy się przyznają a potem, każde z nas, z osobna będzie musiało wejść i w ich obecności złożyć zeznania. Ponieważ jest to rozprawa wstępna, podczas której oskarżeni nie mają jeszcze prawnika, oni nie będą niczego zeznawać ale prawo mówi, że muszą być obecni podczas moich zeznań. Gdy dowiaduję się, że będę musiała wejść do sali sama, tym bardziej nie mam ochoty tam iść. Pada wezwanie. Wchodzę i własnym oczom nie wierzę! Aby zasiąść na składanym krzeselku przed sędzią, muszę się precyzyjnie 20 cm od jednego ze zbiorów! Krzeselko stoi przed podestem, na którym za stołem siedzi sędzią z protokolantką, która ma wszystko spisać na komputerze. Po lewej stoi biurko prokuratora a po prawej, PÓŁ metra ode mnie, twarzą do mnie siedzą zbiry! Nie mam nawet odwagi na nich patrzeć z takiej odległości. W duchu pocieszam się, że nie jestem ofiarą gwałtu, bo bym na pewno nie wytrzymała składania zeznań z oprawcą niemal dyszącym w kark!

Składam przysięgę „na ojczyznę Nikaraguę” i reszta idzie już dość gładko. Składam szczegółowe wyjaśnienia przerywane co chwilę przez protokolantkę, która nie nadąża z pisaniem dwoma palcami. Po wszystkim dostaję papier z moimi zeznaniami do podpisania. Prokurator naciska abym podpisała bez czytania, „bo to przecież wszystko co powiedziałaś”. Nie zgadzam się. Na szczęście! Okazuje się, że protokolantka w ogóle mnie nie słuchała. Znajduję ok. 20 błędów i przeinaczeń. Kris również składa swoje zeznania. Zostaję obecna na sali za drewnianą poręczą. Wszystko idzie tym razem gładko i sprawnie, bez pomyłek w protokole.

Wychodzimy na zewnątrz i kierujemy się do tego samego samochodu, którym przyjechaliśmy. Ku naszemu zdumieniu, na otwartą pakę ładują naszych zbiorów skutych w kajdanki i jeszcze jakichś więźniów. Nie mogę w to uwierzyć! Ofiary i oprawcy wiezieni tym samym samochodem z nieuzbrojonymi policjantami! Po tym wszystkim, co przeszliśmy w ciągu tych ostatnich 9 dni, nic mnie nie powinno już zaskakiwać a jednak jestem w szoku!

Policjant po wysadzeniu oskarżonych przy komisariacie odwozi nas do hostelu. Dwie godziny później wracamy jeszcze odebrać uzupełnioną kopię zeznań i żegnamy się już na dobre z naszymi policjantami. Szef policji dziękuje mi bardzo za dostarczone rano tłumaczenia. Mówi, że dzięki nam udało się zatrzymać ludzi, którzy rabowali rowerzystów od tyłu lat. Mówi też, że ich dochodzenie będzie trwać i będą nas informować o ewentualnych postępach.

Siedzę teraz w hostelu. Robi się już późno. Jutro ruszamy po 10 dniach dalej. Czy czuję satysfakcję? Nie. Żadnej. Wcale się nie cieszę, że goście dzięki nam pójdą do pudła. Dlatego w tytule napisałam „Dramat bez happy endu”. Bez happy endu dla nas – bo nie odzyskaliśmy aparatów ani paszportu i bez happy endu dla rabusiów, bo pewnie pójdą siedzieć. Przykro mi. Smutno bardzo. Wołałabym, aby do tej sytuacji nigdy nie doszło. Mimo tego, co nam zrobili, żal mi typów. Nie wiem czemu, ale jest mi ich żal. Dziś też przeszło mi przez myśl, że gdybym wiedziała ile nerwów i zachodu będzie mnie kosztowało doprowadzenie całej sprawy do tego punktu, może postąpiłabym jak reszta rowerzystów, którzy nawet nie zgłosili zajścia na policję. No a z drugiej strony, przez to, że nikomu nie chciało się poświęcić czasu i energii, goście bezkarnie rabowali dalej.

Jestem bardzo zmęczona. Chyba więcej stresu przeżyłam w związku z całym dochodzeniem niż samym zajściem.

Nie liczę już na odzyskanie paszportu ani aparatu. W Managui, stolicy Nikaragui będę też musiała ubiegać się o nową wizę do USA. W związku z tym, że sama papierologia będzie droga, chwilowo nie stać nas na nowe aparaty. Nie będzie więc zdjęć z podróży. Choć jest jeszcze cień nadziei, że się znajdą....Życie nam powodzenia i trzymajcie kciuki.

Jutro ruszamy stąd do oddalonego o 5 km miasta San Jorge. Stamtąd bierzemy godzinny prom na wyspę Ometepe. We wtorek o północy wsiadamy na prom z Ometepe do miasta Granada. Stamtąd przez Masayę do stolicy, w której utkniemy pewnie na kolejne 10 dni w oczekiwaniu na paszport i przesłuchanie w sprawie wizy do USA.

Na koniec chciałam przeprosić nasze rodziny za to, iż mimo licznych rozmów telefonicznych, nie poinformowaliśmy o tym, co nam się przytrafiło. Rozumiem, jeśli czujecie rozgoryczenie dowiadując się o wszystkim z tego wpisu. Nie informowaliśmy Was ponieważ woleliśmy opowiedzieć wszystko, gdy będziemy mieć to za sobą. Albo z radosną wieścią, że mam mój paszport albo z mniej radosną,

NIKARAGUA. DRAMAT BEZ HAPPY ENDU

Published on biketheworld.pl (<http://www.biketheworld.pl>)

że nie mam paszportu a napastnicy siedzą.

Na sam już koniec napiszę, że pierwsza taka historia dopiero po 4,5 roku w drodze to całkiem dobry wynik:-) W końcu musieliśmy się liczyć z tym, że kiedyś nas coś takiego spotka.

Pozdrawiamy Was wszystkich i będziemy informować na bieżąco o rozwoju wydarzeń, jeśli takowy w ogóle nastąpi.



[4]

Source URL: <http://www.biketheworld.pl/nikaragua-dramat-bez-happy-endu>

Links:

[1] <http://www.biketheworld.pl/nikaragua>

[2] <http://www.biketheworld.pl/adela-country/516>

[3] <http://www.biketheworld.pl/biuletyn/newsletter-biketheworldpl>

[4] http://www.biketheworld.pl/sites/default/files/imagecache/minigaleria_big/Adela/paszport_polski.jpg